

Ostatnio dla Jojsefke nastaly lepsze czasy. Juz matka nie krzyczala na niego, jak dawniej. Ojciec rowniez przestal sie wydzierac. Zaczeli go traktowac, jak sie traktuje prawdziwego gospodarza, ktory zostanie spadkobierca calego gospodarstwa. Gdy kazali mu cos robic nie rozkazywali krzykiem jak poprzednio, tylko mowili spokojnym glosem. Naradzali sie nawet z nim, co i jak maja robic. Komu pozyczyc pieniadze, od kogo odebrac i tak dalej.

Zaplanowali jeszcze w tym roku kupic od Konstantego, wnuka Tretiakowej, dwa hektary ziemi i kawał łąki, która jak wiedzieli, będzie najlepszą lokatą kapitału, której ani wojna, ani pożar, ani złodziej nie ukradnie.

Zabezpieczyć się tylko dobrymi dokumentami, wtedy będzie gwarancja, że pieniądze są dobrze ulokowane. Planowali również kupić maszynę parową, żeby olejarnia, greplarnia i reszta maszyn jak kaszarnia, sieczkarnia, pracowały parą, a nie jak dotychczas koniem i kieratem. Koń i kierat to już przestarzały system. Musiały się unowocześnić, twierdził Jankiel, stukając ołówkiem w stół...

Zbliżały się jesienne święta, żona Jankla nakupiła dużo kur, powisała je do kójki i dokarmiła kukurydzą i różnym ziarnem, żeby się utuczyły na święteczny złoty rosół. Z miasta przywiozła worek cztero-nulowej mąki i postawiła w spiżarni, otrzepując fartuch z białego kurzu, powiedziała do synowej: ja nie lubię chodzić co czwartek do sklepu, jak te robotrusy, jak Chana, czy moja siostra Basia po dwa kilo mąki na borg, jak na przykład twój tatuś.

Po to haruję od świtu do nocy, żebym nie musiała kupować mąki, czy cukru na deka. Postawiłam cały worek w spiżarni, niech stoi, dorzucę jeszcze pud cukru, duże pudło herbaty, dwa pudy soli i zarznięmy do tego dwadzieścia gęsi na smalec ze skwarkami, a do tego jeszcze Jojsefke dorzuci od czasu do czasu do szojcheta cielaka, czy barana. To się bardzo opłaci. Zadek Iwan Moroz zabierze, skórę garbarnią, z dziesięć kilogramów koszernego mięsa sprzeda się miejscowemu Żydom, a reszta nie będzie kosztowała ani feniga, a my będziemy jedli przez całą zimę tłuste mięso, że aż nam będzie tłuszcz po brodach spływał.

Lato dobiegało końca. Nastaly mgliste poranki. Stada bocianów krążyły po niebie. Klucze żurawi płacliwie żegnały naszą ziemię, lecąc w dalekie kraje...

Na wsi pachniało zoraną ziemią i grzybami. Mołodyce biegły do dnia do lasu, w którym było pełno borowików, maślaków i innych różnorodnych grzybów.

Żona Jojsefki była w ostatnich miesiącach ciąży. Nogi jej opuchły jak banie. Czula się bardzo źle, zwłaszcza noce były koszarne. Było jej bardzo gorąco i brakło powietrza, a potomek Łabunisza walił po brzuchu, jak prawdziwy pięściarz. Jej świekra wyszukała już wiejską babkę. Miała nią być Łazarenkowa Chryścia.

Na zadatek poszła jej satynową spódnice i obiecała, gdy jej wnuk będzie pći męskiej, to znaczy gdy będzie kadyszem, doda jej jeszcze czerwoną zapaskę i chustkę w kwiaty.

Od tego dnia Chryścia traktowała synową Sosi jak swoją własność. Przychodziła do niej niemalże codziennie. Kazała ciężarnej kłaść

Sześć córek

się do łózka, robiła nad nią różne czary. Dmuchała ustami wokół jej głowy, kazała by ciężarna podała kałesony męża i koniecznie żeby były noszone i brudne. Owiewała nimi brzuch ciężarnej, a rąbkami własnej koszuli wycierała jej czoło, nos i usta, żeby, jak mówiła, niezysty nie miał do ciebie duszko dostępu. Nieczysty tylko czeka, żeby wcisnąć się do środka. Widziałaś duszko, ile kalek się rodzi? Jedno ma nóżki skręcone w kablak, drugie zajęczą wargę, trzecie zamiast głowy banię z wodą, to wszystko robota rogatego, ale ty się nie bój duszko, bądź pewna, tam gdzie Chryścia stoi na czatach, tam już żaden czort dostępu nie ma. Zobaczysz duszko, urodzisz dzieciątko zdrowiutkie, gładziutkie, z kędziorkami. Śliczniutki jak paniczek. Wszystkie czary, wszystkie guśla uczyniłam. Wstawałam o północy i robiłam wszystko, co trzeba, żeby ci się nic złego nie przydarzyło, mówiła Chryścia, plując na boki.

Koszulę Chryści i brudne gacie męża czuć było tym samym nieprzyjemnym zapachem, co doprowadzało ciężarną niemalże do młodości. lecz nie było siły, żeby się z tego wykręcić, gdyż sama wierzyła, że te czary mają jednak wielką moc...

A gdy Chryścia już swe czary skończyła, gdy ciężarna już przeszła wszystkie guślarskie tortury, a gacie jej męża wróciły do kosza z brudną bielizną, młoda kobieta już odprężona leżała na łóżku i rozmawiała z Chryścią, którą nawet lubiła.

Chryścia, wysoka, potężna baba, o rumianych policzkach i wesołych, mądrych oczach, wyglądająca na lat pięćdziesiąt, była istną skarbnicą różnych porad i gadek. Opowiadała, co się robi, żeby mąż kochał do nieprzytomności, żeby za drugimi babami nie latał. Jak zmusić kawalera do żeniaczki, jak pozbyć się rywalki. Wystarczy nabrać trochę piasku spod jej stóp i o północy rozsypać na rozstajne drogi, wtedy jak się „sopernica” (rywalka) położy, to już nigdy nie wstanie. Ale ja mam Boga w duszy. Służę tylko ludziom radą i pomocą, a złymi sprawami zajmować się nie lubię.

O, lubczyku podsypać komuś, to nie grzech. Co innego, nasłać na kogoś chorobę...

Pomimo Chryści czarów i różnych zaklęć, ciężarna czuła się coraz gorzej. Nie mogła się nachylić, ani zapiąć pantofli. Ze wszystkim musiała się zwracać do męża, którego nienawidziła lub do świekry, której też nie lubiła.

Jesć też nic nie mogła, tylko piła i piła, jakby w brzuchu nie nosiła dziecka, tylko potworną jakąś rybę, która potrzebowała mnóstwo wody. Rozrósł się ten Łabuniszowski potomek, aż rozsadzil jej brzuch wszere i wzwyz. Dźwigała przed sobą istną górę...

Spotkała ją kiedyś czarna Chana, ciotka Jojsefki, z którą ciężarna była skoligacona różnymi koligacjami, przez świekra, który był czarnej Chamy rodzonym bratem i przez dawne dzieje, kiedy jej brat Fiszke smałił do niej cholewki i jeszcze przez to, że była jej nauczycielką. Uczyla ją szyć kaftaniki dla młodych Ukrainek i pięknie obszywane sutaszem i wstążkami spódnice i zapaski, lecz nic z tego nie wyszło, gdyż Blimełe nie miała daru, ani zdolności do szycia, choć wiedziiała, że powinna nauczyć się tego zawodu, żeby mogła co nie bądź zarobić na swoje utrzymanie.

Otóż czarna Chana, jako doświadczona matka, która urodziła kilkorokoro dzieci powiedziała jej, że musi chodzić na długie spacery. Musi się zginać, gimnastykować, słowem pracować.

Wiesz moja droga, dlaczego młode Ukrainki lekko rodzą? Bo do ostatniej chwili ziemię kopią, żyto żną, wodę noszą, ciężko pracują. Pamiętasz Blimele, Marię Czapelką? Nie mogła wcale urodzić, a wiesz moja kochana, dlaczego? Bo tłusto jadła i do tego nic nie robiła... Noworodek leżał w smaleu, jak w pierzynie i nie mógł się wcale wydostać na świat... Och, Boże, co się wtedy działo? Lekarze klęszczami dziecko po kawałku wyciągnęli, a Maria cały tydzień ze śmiercią walczyła.

Owsem, Blimele pamiętała, że cała wieś o niczym innym wtedy nie mówiła tylko o Czapelkiej porodzie, który trwał bardzo długo. Czarna Chana dała ciężarnej jeszcze kilka wskazówek i poleciła jej swoją babkę Ciprę, która według niej ma więcej wiedzy w tej dziedzinie, niż najlepszy lekarz.

Blimele podziękowała i rzekła:

— Moja świekra już babcię Chryście zamówiła, która przychodzi do mnie prawie codziennie i czyni nad moim brzuchem różne gusła.

— Chryścia — zachnęła się czarna Chana. — Tfu! — plunęła niemal ze złością. — Wygoń ją w diabły z jej gusłami, z jej czarami. Ty tylko słuchaj swojej świekry. Ta diablica cię ugrobi... Przysięgam ci na Boga, że cię ugrobi... Ty słuchaj lepiej mnie. Jestem przecież po mężu twoją ciotką. Poza tym i bez tego czuję do ciebie sympatię, miałam przecież być twoją bratową, pamiętasz? Lecz Bóg w niebie chciał inaczej. Nie mam pretensji do twego brata, że mnie puścił kantem. Widocznie tak musiało być. Myślę, że nie byliśmy dla siebie przeznaczeni, lecz to wcale nie przeszkadza, że cię lubię, że mam cię za krewną, przecież nią jesteś. Jojsefke jest moim bratankiem. No nie? — zaśmiała się czarna Chana odrzucając głowę do tyłu.

Przed odejściem złapała ciężarną za rękę i przyciągnęła do siebie, i szepnęła jej do ucha:

— Pamiętaj Blimele, gdy z boską pomocą urodzi ci się syn, musisz mnie zaprosić na chrzciny. Chcę koniecznie podać twego syna do obrzezania. Musisz to dla mnie zrobić, choćby nawet twoja świekra pękła ze złości — machała palcem tuż przed nosem ciężarnej. — Jestem pewna, gdy twoja świekra zobaczy mnie w swoim domu, a gdy jej oświadczę, że będę chrestną matką jej wnuka, od razu dostanie ataku serca lub zrobi to samo, co jej córka... otruje się... Mam nawet butelkę z trucizną. Mogę jej odstąpić, żeby miała pod ręką — powiedziała śmiejąc się głośno, że aż kok jej się rozwiązał i fala czarnych włosów rozsypała się po plecach. — Przyjdź kiedyś do mnie — zaprosiła ją czarna Chana nie przestając się uśmiechać. — Naopowiadam ci różnych historii, dopiero się dowiesz, jaka jest twoja świekra... Nauczę cię, jak masz z nią postępować, żebyś mogła jakoś z nią wytrzymać — mrugnęła Chana wypukłym czarnym okiem.

Wszyscy myślą, że jest mi u teściowej źle, pomyślała z goryczą Blimele. Świekra wcale nie jest taka zła... Mnie jest źle z innego powodu, lecz czy mogę każdemu mówić, co mi dolega?

Czarna Chana odeszła kawałek i stanawszy, zawołała: „Pamiętaj Blimele, ja podaję twego syna do chrztu” — machnęła do niej ręką i przykrywszy kraciastą chustą z długimi frędzlami kosz, który trzymała w ręku, kołysząc biodrami odeszła.

Młoda kobieta skierowała się w stronę swego rodzinnego, starego domu, czyli że poszła w innym kierunku.

Zeszła wygonem w dół, przez który pędzono bydło do wodopoju i na pastwiska. Dwie rozdzielone drogi ogrodzone z dwóch stron płotami, które ciągnęły się aż do rzeki, płynącej szerokim pasem obok łąk, przy których rosły sitowia i wysokie łopiany zwane trującym lulkkiem i bujny piolun. Otóż ten bujny piolun ma szerokie zastosowanie, służył do wypłaszania pcheł. Prawdopodobnie pchły nie znosiły jego górskiego zapachu, gdy się go podłożyło w łożku pod prześcieradło, można było spokojnie spać przez całą noc, a pchły przynosiły się wtedy do kudłatego psa i gryzły go w dwójnasób, że pies, aż drapiąc się skowytał z bólu. Służył jeszcze do innego celu, a mianowicie wiązano go w pęczki i zamiatano nim śmiecie. Taka piolunowa miotła zamiatła czysto mieszkanie i stojąc w kącie wydzielała ostre zapach, który przeszkadzał pchłom.

Doszła do samej rzeki. Horyń miejscami płynął spokojnie. Miejscami przelewał się szumem. Pienił się, kipiał, rwąc za sobą wszystko, co napotkał, a w niektórych miejscach dzielił się na odnogi które ledwo ruszały falami.

Na brzegu pasły się łaciate, chude krowy i czarne, z długimi ryjami ze sterzącą szczecinią świnię, które ryjąc przewracały murawę jak plugiem. Była to murawa niczyja, gromadzka, zwana Obolonem. Otóż na tej do cna, do ostatniej trawki wyskubanej ziemi, pasły się żydowskie krowy, które trzeba było dokarmiać w domu, by nie zdechły z głodu. Gęsi, co gubiły pióra, no i te cholerne świnię, które oraly ryjami jak rataje.

Na widok Obolonu zrobiło się młodej kobiecie smutno. To wysuszone do cna pastwisko łączyło się bardzo z jej dzieciństwem. Było też nieodłączną częścią jej młodości, prawie życia. Trzy, cztery razy dziennie, rozwścieczona głodem i pogryziona gżami krowa uciekała z tego wypalonego słońcem Obolonem i żalonym „mu” i swoimi krowami oczami, które były wilgotne jakby płakały, domagała się żeby ją nakarmić. Obowiązkiem Blimele było wyrwać duży łopian i walać tym łopianem po krowim grzbiecie zagnać ją na to samo miejsce z powrotem. Dopiero o zachodzie słońca, gdy się ściemniało, otwierano szeroko i krowa weszła biegiem do chlewa, gdzie czekała na nią przyma lebiody i innych różnych traw i chwastów przymiesionych w zojduku z ogrodu, czy z pól.

Oprócz, że trzeba było dwa, trzy razy dziennie siłą ją na poryte, wysmalone bezpańskie Obolonem wyganiać, trzeba było jeszcze ze dwa razy zobaczyć czy łaciate tam jeszcze stoi, gdyż zdarzało się nieraz, że głodne bydło się zbuntowało i zamiast do domu wskoczyło do rzeki i przepłynęło rwący, bardzo groźny w tym miejscu Horyń i poszło aż do lasu lub zaszło się w przybrzeżne zarośla i napasłszy się tak, że mało mu kądun nie pękł, kładło się spokojnie, żując żwaczkę, nie myśląc wcale, że trzeba wrócić do domu...

Gdy krowa w przeciagu dnia, ani razu nie zjawiła się pod furtką, robił się w domu wielki rejwach. Mama z Blimele biegly na obławę, snując po drodze najczarniejsze myśli, że może ugrzęzła w błocie, może się utopiła, a może wlaża komuś w trawę, a gospodarz zamknął ją w chlewie i będzie chciał, żeby mu dużo zapłacić za szkodę, a może poszła na Rychtę, a stamtąd już niedaleko do jasnie pańskiej koniczyny. Po drodze mama pytała każdego napotkanego chłopca: „dziadku, czy ty nie baczysz mojej krowy?”

Tak, jakby ta krowa była jakaś nadzwyczajna, że każdy gospodarz musiał ją znać...

Przechodząc teraz blisko Obolonia, Blimele spojrzała tęsknym okiem na ten wysmalony do cna kawał beapańskich łąki. Pasły się tam jak dawniej gubiąc pióra białe gęsi i chude, z długimi ryjami, ze sterczącą do góry szczecinią czarne świnię, przeorywały murawę, gdziegdzie leżała żując zwaczkę czyjaś krowa, tylko naszej łaciej nie było. Przed kilku laty wyszła z naszego chlewa i powędrowała na piechotę aż do Kowla, gdzie w rzeźni miejskiej skończyła swój marny żywot...

Obecnie Blimele nie musiała się troszczyć, czy jedyna żywicielka nie ugrzęzła. Nie musiała też chodzić z mamą na pole i prosić: „Diadino (ciotko) czy można ziela napołat (napielić)? Dla krowy jak stodoła, co stoi obok stajni, nie brak smacznej paszy. Słodka trawa z własnej łąki, tłusty makuch poukładany krazkami, aż pod sam sufit, wystarczy dla nie jednej krowy, a dla dziesięciu...

Powinam być zadowolona. Wiele ciężkich trosk spadło z mego grzbietu. O wielu rzeczach nie muszę myśleć, ani się martwić, a jednak nie jestem szczęśliwa, wręcz odwrotnie, jestem bardzo nieszczęśliwa... Sto razy bardziej niż wtedy, kiedy w zgrzebnej płachcie, ocierając pot z czoła, niosłam ziele dla krowy i przekradałam się z bijącym sercem przez ulicę, żeby broń Boże nie spotkać Miszki i Chaskla czy Srołka, czy kogoś innego z miejscowych Żydów, bo by się śmiali, że dźwigam jak tragarz na plecach wór z ziele. To przecież poniżające zajęcie dla dziewczyny...

Minęła to miejsce, z którym była niegdyś bardzo związana i poszła pod górę. Ciężko sapiąc wspinała się na wzniesienie. Potomek Łabuniszka wierzał nogami, czy głową. Kto jego mógł tam rozeznąć... Bez odstępów. Co minuta walił jakby pięścią w brzuch, że aż sukienka falowała...

Nie miała się czym cieszyć, ani chwalić... Co ją w końcu obchodzi ten Łabuniszowski potomek... Myślała, że w ogóle nie będzie kochała tego stworka, co ją spętał, że momentami miała wrażenie, że Bóg ją ukarał za jakiś zły uczynek, że przytroczył jej ciężar, który będzie musiała dźwigać, aż nie odpokutuje tego grzechu. Dopiero na górze odsapnęła trochę i poszła w stronę Żarukowego Opanasa. Jakiś instynkt ciągnął ją do domu, w którym mieszkała jej matka, lecz ze względu na odległość wahała się. Z drugiej strony miała w dalszym ciągu żal do matki... gdyby mamusia postąpiła inaczej...

Rana była jeszcze zbyt świeża. Nie miała kiedy się zabiżnić. Obecnie matce powodzi się dobrze. Zięć dotrzymuje słowa. Regularnie dowozi jej żywność i często ją odwiedza. Blimele nawet nie wie, o czym ze sobą rozmawiają. W każdym bądź razie między Jójsefke a jej matką panuje zgoda i najlepsze porozumienie. Jójsefke wieczorem rozbiierając się do snu powiada: widziałem się dzisiaj z twoją mamusią. Czuję się bardzo dobrze i ciebie Blimele pozdrawia i mówiła, że nie musisz do niej przychodzić, że do ciebie przyjdzie, gdy zajdzie potrzeba. Te słowa piekły jak ogniem. Chciałoby, się z mamusią pogadać, położyć jej rękę na miejscu, gdzie Łabuniszka potomek buszuje. Porozmawiać serdecznie, poradzić się. Niestety, mamusia nie chce jej widzieć... Blimele stanęła na górze, z której widać było dom ryżego Janika, w którym mieszkały jej koleżanki. Nagle poczuła ogromną tęsknotę za koleżankami, z którymi bawiła się od dzieciństwa aż do zamążpójścia. Skreśliła w stronę domu stojącego niedaleko odnogi płynącej z Horynia.

Dziewczęta witały ją z ogromną radością. Zapraszały przekrzykując się nawzajem, żeby się rozgościła, przyniosły z ogrodu wielki jak koło słonecznik, częstowały ziarnkami. Wszystkie, jak jedna, od najstarszej do najmłodszej były lekkie, zwinne, różowe na buziach z bly-

szczącymi oczami, szebiotliwe jak beztroskie ptaki, w przeciwnym razie Blimele, która się czuła ocieżala. Z opuchniętymi nogami jak kloce, w miękkich filcowych papuciach nie wyglądała korzystnie, w dodatku nie mogła długo usiedzieć w miejscu, bolała ją bardzo krzyż. Dziewczęta obstąpiły ją dookoła i zaczęły prosić, żeby im opowiedziała, jak jej się żyje w tym tak bardzo bogatym domu? Jak spędza czas wśród tych bogaczy? Zarzucały jej nawet, że chyba zaczęła nosa zadzierać, skoro do nich wcale nigdy nie zagląda. A one bardzo za nią tęsknią. Nie ma ani jednego dnia, Blimele, abyśmy cię tu nie wspominały. Ty mieszkasz teraz jak księżniczka w złotej klatce czy w złotym domu i zupełnie zapomniałaś, że miałaś kiedyś biedne koleżanki. Usprawiedliwiała się jak mogła, że nie jest żadną księżniczką, ani nie mieszka w złotym domu, że nigdy nosa nie zadzierała, ani nie zadziera, tylko że wszystko się jakoś zmieniło, a w tym stanie, jak widzicie, z tymi kłocami w papuciach, nie zawsze mam chęć pokazywać się ludziom.

Wy mi lepiej opowiedzcie, co u was słyhać? Czy zbieracie się w szabas po obiedzie, jak dawniej? Czy tańczycie kadryla? Czy śpiewacie piosenki, jak śpiewałyście niegdyś ze mną?

Dziewczęta posmutniały. Z kim teraz tańczyć? Chyba z krzesłami. Pomyśl tylko Blimele, Chajj Sroliczychy nie ma, Estery nie ma. Blume w kibucu, Fejga w Palestynie. Ty wyszłaś za mąż za bogatego Jójsefke, a chłopaków we wsi wcale nie ma. Z kim teraz co począć? Ale wkrótce i u nas coś będzie, szepnęła Muszke tajemniczo, a Chasia spłonęła jak Róża. Blimele spojrzała na Chasię, która siedziała na progu i spytała: Co słyhać u ciebie, Chasio? Nic specjalnego, odparła Chasio lekko się uśmiechając. Poza tym tylko, że Szmiel, ten faktor z Rafałówki uparł się i chce koniecznie dać mi męża... Ma w Stepaniu jakiegoś niedolegę, któremu żona umarła dwa lata temu. Uśmiechnęła się smutnie. A ty już go widziałas, Chasio? Młody, czy stary? Dociekała Blimele z wielkim zainteresowaniem.

Widziała, widziała, czemu miała nie widzieć? Już będzie ze dwa tygodnie temu jak Szmiel go tu przytaszczyl, wtrąciła się kpiąco Rachila, najładniejszy podłotek wśród sióstr.

No i co, Chasio, podoba ci się chłopak? Dopytywała się szczerze ucieczona Blimele.

Jaki tam chłopak, mówiłam ci przecież, że wdowiec, w dodatku już niemłody, odparła rozdrażniona Chasio, lecz co ma zrobić? Widzisz Blimele, jaka łodyga już wyrosła z tej Rachili? A ona przecież jest szóstą wśród nas i choć ma dopiero piętnaście lat jest o wiele wyższa ode mnie, a ja gdy patrzę na nią dopiero czuję jak moje lata lecą... lecą... lecą jak jesienią te liście z drzew.

Ona mi zawsze wypomina, że jestem wysoka, a czy nie pozwoliliam wam rosnąć? Mogłaś sobie rosnąć pod sam sufit. Czy przeze mnie jesteś taka mała torba? Rzuciła Rachila swojej siostrze prosto w twarz.

Przestań Rachil. Idź stąd do swoich lalek, krzyknęła młodsza siostra Rejzke, która czuła się również obrażona i trochę zawistna, że ta szóstka jest wyjątkowo piękna, w dodatku bardzo zgrabna i wysoka, jakby była wyjątkiem wśród nich...

(c.d.n.)

8 פאקט-טעם

1990-03-30

Sześć córek

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Blimele czuła się w obowiązku coś powiedzieć, żeby podtrzymać autorytet starszych sióstr. Rachila, powiedziała Blimele, nie powinnaś swoim siostronom dokuczać, one są starsze od ciebie, należy im się szacunek.

Ja im wcale nie dokuczam, odparła zuchwale Rachila. To one mi dokuczają. Wyganiają mnie z pokoju do lalek... ja niedługo skończę szesnaście lat, a one by wciąż chciały, bym jeszcze leżała w pieluszkach... Wiesz, co mi Michał Popowicz powiedział? Zwróciła się z iskrzącym wzrokiem do Blimele, że jestem najpiękniejszą Żydówką w okolicy, a one mnie gonią do lalek...

Chasie zakryła rękami twarz. Słyszałaś Blimele, kiwała Chasie smutno głową. Nosi się z tym smarkata, jakby ją ten szejgec na sto koni wsadził. Głupi szejgec, też nie miał nic innego do roboty tylko z taką smarkulą romawiać, rzuciła Chasie zdenerwowana, że aż pogłębiły się zmarszczki na jej śniadej, niemłodej już twarzy.

Złosisz się Chasie, że Popowicz ze mną rozmawiał? A na was, na żadną nie miał ochoty nawet spojrzeć, a ja wam na złość będę się z nim spotykała i nic mi nie zrobicie... O... rzuciła Rachila siostronom i przeskoczyła przez płot i śmiejąc się głośno pobiegła do ogrodu.

Widzisz Blimele, o tak teraz u nas wygląda, powiedziała z wielkim smutkiem Chasie. Szczęśliwa jesteś, Blimele. Masz męża. Nie musisz liczyć lat, które uciekają. Przed tobą nie stoi taki smarkacz, taki głupi podłotek i nie chwali się dziesięć razy na dzień, że jakiś tam Popowicz powiedział jej, że jest najpiękniejsza... Czy nie mógł być u nas choć jeden brat, powiedziała Chasie łamiącym się głosem. Sześć sióstr... słyszysz Blimele, sześć sióstr, sześć klątów... i ani jednego błogosławieństwa... sześć dziewczuch i ani jednego chłopca, rzekła Chasie z naciskiem.

Ojcu nie mogę o tym powiedzieć. Tatś jest już bardzo słaby. Cały dzień w kuźni, w tym skwarze, bije młotem od świtu do nocy, żeby utrzymać tę chałastę. Sam jeden bez żadnej pomocy, a to ci jeszcze nie urosło, a już się chwali, że jakiś szejgec powiedział jej, że jest piękna...

Wierz mi, Blimele, gdybym poskarżyła się ojcu, rozszarpałby ją na kawałki, lecz tatuś by się bardzo zirytował i rozchorowałby się na serce, a ja tego nie chcę, spojrziała Chasie na kuźnię, skąd dochodził stuk młotka o kowadło.

Wyrosnie, zmądrzeje — powiedziała Blimele. Ten wiek u dziewcząt jest najgłupszy. Ja też miałam takie okresy. Pamiętam, że mi się zdawało, że jestem najpiękniejsza, najmądrzejsza, zwłaszcza wtedy, gdy jakiś chłopiec mi powiedział, że jestem ładna, choćby powiedział na żarty. Byłam pewna, że to święta prawda. Myślałam nawet, że ten ktoś jest gotów pójść ze mną na koniec świata. A dzisiaj — machnęła Blimele ręką.

A mnie często przechodzi przez głowę fatalna myśl, że właśnie Rachila zrobi nam brzydki kawał... Jestem najstarsza, powiedziała Chasia szeptem. Na moich oczach się rozdziły, leżały w pieluszkach, jady, spaly, za przeproszeniem, paskudziły, rosły i dorastały. Znam każdą jedną jak zły szeląg, lecz żadna z nich nie była taka zarozumiiała. Nie siedziała wiecznie przed lustrem i nie robiła min. Każda jedna z nich, zajęła się czymś. Chciała się czegoś nauczyć, a tylko ta Rachila, ani do szkoły, ani do szycia, nawet za sobą posprzątać. Cagle by się tylko stroiła, przebierała, włosy kręciła i bezustannie tylko modziła. Potrafi godzinę dwie przesiadzić przed lustrem, przybierać różne pozy, stroić miny jak głupi pajac. Tfu — plunęła Chasie z goryczą. To się nam ta szósta siostra udała...

Rejzke jak zawsze małowówna, milczała, tylko igła szybko migiała w jej palcach, marszczyła czarną, w czerwone różyczki spódnice, która miała być gotowa na wieczór.

Wiesz Blimele, najlepiej rozumiemy się z nią, dotknęła ręką Rejzke. Patrz Blimele, obie nauczyłyśmy się szyć. Najpierw ja, potem ona. Obie kolysałyśmy tę całą czeredę. Ona była bardzo ma lutka i wątła, nie sięgała do sznurów od wiszącej kołyski, więc nasza mama stawiała krzesło, na krześle mały stoleczek i na tę piramidę wsadzała ma lutką Rejzkę i ta nieboraczka jak przywiązana stała całutki dzień nad kołyską i huštała, huštała, ile jej tylko starczyło sił, żeby tylko to małe długo spało i nie przeszkadzało naszej matce, która znowu chodziła z dużym brzuchem, by za kilka miesięcy jeszcze jedną klątwe urodzić... A gdy nastąpiło rozwiązanie, wtedy nasza mamusia wyciągała to starsze z kołyski, wsadzała mnie lub jej na ręce, a do kołyski kładła tę nowo narodzoną klątwe...

Grzbiety nam się łamały od tego dźwigania, lecz innej rady nie było, gdyż mama albo chodziła z brzuchem, albo leżała w poło-gu...

Ze sześć dziewczynek chyba zmarło... Chwała Najwyższemu, że choć kilka Pan Bóg zabrał do siebie, uśmiechnęła się Chasie pierwszy raz.

Pamiętam, że nasz tatuś przed każdym porodem otwierał modlitewnik i kazał nam się modlić. Powiadał: módlcie się dzieci. Proście Boga, może was prędzej wysłucha i da wam brata... Jesteście jeszcze dziećmi, macie jeszcze mniej grzechów od nas dorosłych. Może się zlituje nad nami i da nam kadysza.

Kołysałyśmy tę małą Rywele i na głos błagałyśmy jak w Jom Kipur „Goteniu” daj nam brata... Nie chcemy już siostry. Niech nam nasza mama urodzi brata, wołałyśmy na głos. Nie chcemy już dziewczynek, które są dla naszego tatusia przekleństwem. Modląc się nad księgą błagań płakałyśmy i wierzyłyśmy, że tym razem nasz litościwy Bóg nas wysłucha i mama urodzi upragnionego przez nas wszystkich kadysza...

I co? Babka Cipra wychodzi z alkierza i wola: Idźcie, powiada, przywitajcie nowo narodzoną siostrzyczkę.

O! i tak przyszły na świat Muszkę, Chame, Ester, Frejdl, Rachil, Rywe, Jachne, Gitl.

Chwała Bogu, że niektóre z nich Pan Bóg zabrał do nieba, że zostało nas tylko sześć...